

Rozdział 1

Astrid

Połowa listopada mija w deszczowej scenerii i chociaż mieszkam w San Francisco od lat, w tym roku czuję dziwnie depresyjną aurę. Może to z powodu kolejnego faceta, który okazał się frajerem, a może to chęć ucieczki do innego kraju, aby choć na chwilę zmienić otoczenie w swoim życiu. Nie wiem, ale cokolwiek by to było, musi poczekać, bowiem jak zwykle muszę ratować swoje dziewczyny w opałach.

– Co tym razem się dzieje, że zwlekacie mnie w sobotę o tak wczesnej porze? – pytam bez witania się i zrzucając z siebie mokry płaszcz.

Po ukończeniu studiów z kosmetologii założyłyśmy z Vanessą i Kimberly nasz salon. Trzy dziewczyny, trzy różne temperamenty, jedna szalona wizja. Robimy wszystko – paznokcie, rzęsy, zabiegi na twarz, a ostatnio dorzuciłyśmy botoks, bo jak powiedziała Vanessa: „Albo idziemy z duchem czasu, albo czas robi z nas swoje ofiary”.

I wiecie co? Idziemy. Mamy wypełnione grafiki, stałe klientki i dochody, dzięki którym mogę raz na jakiś czas kupić sobie coś głupiego i kompletnie niepraktycznego, bez większych wyrzutów sumienia.

Czy narzekam? W życiu. Kocham tę robotę. Kocham nasze małe „Imperium Piękna”. I naprawdę musiałabym być wyjątkową niewdzięcznicą, żeby mówić inaczej.

Vanessa stoi pośrodku salonu jak generał na polu bitwy, z miną mówiącą: „Zaraz wszystkich pozabijam”. Kimberly siedzi na recepcji i wachluje się folderem, jakby miała zaraz zemdleć. To nigdy nie wróży niczego dobrego.

– Powiedzmy, że mamy kryzysową sytuację.

– O nie. – Masuję skronie. – Powiedźcie, że to nie klientka z reklamacją, bo naprawdę nie mam siły wysłuchiwać kolejnej

historii o tym, jak to jej sztuczne rzęsy okazały się... niespodziewanie zbyt naturalne.

Vanessa prycha.

– Gorzej.

– Gorzej? – Marszczę brwi. – Co może być gorsze od sztucznych rzęs, które odpadają na imprezie?

– Nasz kalendarz. – Vanessa podaje mi tablet jak materiał dowodowy. – Mamy potrójną rezerwację na tę samą godzinę.

– Eee... nie widzę problemu – mówię, choć już czuję, że problem jest. – Która z was to wklepała?

– No... – zaczyna Kimberly, tłumiąc nerwowy śmiech – to był chyba kac Vanessy.

– Miałam ciężki wieczór! Ten typ z galerii okazał się żonaty! – Vanessa unosi ręce w obronnym geście.

– Mówiłam, żebyś przestała szukać facetów przy ekspozycji olejów do brody – mruczę, ale uśmiecham się pod nosem.

– To była wystawa sztuki użytkowej, Astrid – poprawia mnie wyniośle.

– To była wystawa brodaczy – odpowiadam.

Kimberly klaszcze w dłonie, jakby nagle przyszło jej objawienie.

– Dziewczyny, skupmy się. Trzy klientki jednocześnie, a jesteśmy tylko we trzy. I wszystkie są „ważne”.

– Oczywiście, że są ważne – potwierdzam, przewracając oczami. – Każda klientka jest ważna, bo inaczej nie spłacę podatku i raty za mój blender do proteinowych smoothie, który kupiłam w akcie rozpacz po moim ostatnim rozstaniu.

Kimberly kiwa głową.

– Czyli... Astrid bierze botoks, ja robię paznokcie, a Van rzęsy. Działamy?

– Działamy – zgadzam się, chociaż w środku czuję tę znaną, nieprzyjemną szorstkość zmęczenia.

Listopad mi nie służy. Deszcz mi nie służy. A faceci, którzy okazują się porażkami? Cóż. Ci nie służą mi najbardziej.

Zakasuję jednak rękawy, przypominając sobie słowa babci: „Jeśli kochasz to, co robisz, to się w życiu nie narobisz”.

I miała rację. Bo chociaż są dni, w których czuję się piekielnie zmęczona, to na koniec dnia, gdy już leżę w łóżku, jestem szczęśliwa.

Klientki przychodzą punktualnie, a my wyglądamy jak dobrze naoliwiona maszyna. Kimberly zagaduje swoją klientkę jak prezenterka porannego programu śniadaniowego, Vanessa nakłada rzęsy z precyzją snajpera, a ja wstrzykuję botoks, jakby był to najprostszy element mojego dnia.

Trzy godziny później wszystkie trzy stoimy wykończone, oparte o ladę w recepcji, jak bohaterki po finale sezonu serialu, w którym zbyt wiele się działo. Ja dopijam zimną kawę, Kimberly kończy czwarty batonik proteinowy (który „miał być na jutro”), a Vanessa przegląda kalendarz, jakby liczyła, że sam się naprawi.

– Astrid... – zaczyna Kimberly ostrożnie. – Jesteś w ostatnich tygodniach jakaś... inna.

– Inna jak w „wygrywająca w lotto i trzymająca to w sekrecie”? – pytam z nadzieją.

– Bardziej jak „próbująca udawać, że wszystko jest super, a tak naprawdę najchętniej zapadłaby się pod ziemię na miesiąc” – odpowiada Vanessa, zaskakująco łagodnie.

Oho. Zaczęło się.

– Dziewczyny, serio, wszystko jest...

– Tylko nie mów, że dobrze – przerywa mi Vanessa. – Znam cię od ośmiu lat. Kiedy mówisz „dobrze”, to albo chcesz kogoś udusić, albo masz fazę przedwypaleniovą.

– Albo znowu całowałaś żabę, która miała być księciem – dodaje Kim.

Okej, trafione. Wzdycham ciężko, zakręcając kubkiem w dłoni.

– Chyba... potrzebuję przerwy – przyznaję w końcu. – Takiej prawdziwej. Zmiany otoczenia, klimatu, wszystkiego.

– W sensie wyjazdu? – dopytuje Kim.

– W sensie wyjazdu gdzieś, gdzie nie ma mojego eks, gdzie nie ma szarego nieba i gdzie nie ma klientek dzwoniących o siódmej rano, bo nagle odkryły, że mają por na nosie.

Vanessa marszczy brwi, patrząc na mnie intensywnie.

– No to jedź – oznajmia w końcu. – Serio. My tu damy radę. Zasłużyłaś, Astrid. Od dawna.

Patrzę na obie. Na ich wsparcie, które zawsze pojawia się w idealnym momencie. I wtedy po raz pierwszy pojawia się ta myśl – nieśmiała, ale uparcie pchająca się naprzód: wakacje.

– Może... może to nie jest taki głupi pomysł.

– To jest świetny pomysł. – Uśmiecha się Kim. – Spiszemy miejsca na karteczkach i wylosujesz miejsce, do którego pojedziesz na dwa tygodnie.

– No nie wiem... – odpieram sceptycznie.

– Nie masz nic do gadania. Kto jest za tym, żeby As pojechała na wakajki, ręka do góry.

Jak na zawołanie przyjaciółki podnoszą obie ręce, kręcąc przy tym biodrami.

Posyłam im zrezygnowane spojrzenie.

– Przegłosowane.

– Dobra, dajcie kartki. – Poddaję się ich pomysłowi. – Tylko nie żadne Chiny albo inne Australie. Dobrze?

Piętnaście minut później wrzucamy kilka złożonych karteczek do pustego pudełka. Kim trzęsie nim przez chwilę po czym każe mi losować.

W myślach powtarzam jak mantrę, by było to przyjemne miejsce, w którym naprawdę odpocznę od wszystkich bolączek swego życia, i wreszcie wyciągam zwitek.

Drżącymi palcami rozwijam papierek, jakbym miała tam odczytać wyrok albo przepowiednię dalszego życia. Serce tłucze się o żebra, a ja biorę parę większych wdechów.

– Boże, As, czytaj wreszcie.

Zerkam na słowo zapisane pochyłym pismem Vanessy.

Aspen.

– Mam jechać do Aspen?

– Byłam tam dwa lata temu z rodzicami. – Vanessa uśmiecha się szeroko. – Świetne miejsce i mogę ci nawet polecić hotel.

– Słowo się rzekło, Astrid. Nie możesz teraz zrezygnować. – Kimberly mówi to z taką stanowczością, jakby właśnie podpisywała ustawę obowiązującą w całym stanie.

Stoję chwilę, wpatrując się w karteczkę, jakby miała zaraz eksplodować. A przecież to tylko pięć liter. Pięć całkowicie niewinnych liter.

Aspen.

Oczami wyobraźni widzę pocztówki z zaśnieżonego i bajkowego miasta, a nawet filmy w tej scenerii i wszystkie te wizje robią piorunujące wrażenie. Ale czy to jest dobra decyzja? Ja mam nawet problem ze zorganizowaniem własnej szuflady na kosmetyki.

– Dobra... – wyduszam z siebie w końcu. – Może... rzeczywiście tego potrzebuję. Zmiany. Ciszy. Śniegu.

Kim klaszcze jak dziecko, które właśnie dostało pierwszego szczeniaka.

– TAK! I będziesz wyglądać tam jak milion dolarów! I może poznasz jakiegoś uroczego gościa, który...

– Kim. – Patrzę na nią ostro. – To są wakacje. Nie randkowe reality show.

– Jasne, jasne. – Macha ręką. – Ale jeśli zdarzy ci się jakaś... przygoda, nie będziemy oceniać.

Vanessa parska.

– Nie będziemy oceniać, tylko wypytamy o WSZYSTKO.

Przewracam oczami, ale uśmiech sam ciśnie mi się na usta. Ich entuzjazm jest zaraźliwy. A w środku, obok tych wszystkich wątpliwości i niepewności, zaczyna rosnąć ekscytacja.

Vanessa chwyta mnie za ramiona i potrząsa lekko.

– Zarezerwuj bilet jeszcze dziś, zanim się rozmyślisz.

– Zarezerwuję – obiecuję. – Wieczorem, jak wrócę do domu i przemyśle...

– Nie – przerywa mi Kim zdecydowanie, podsuwając mi telefon pod nos. – ZAREZERWUJ. TERAZ.

– Kimberly, błagam...

– Astrid. – Jej ton jest groźnie słodki. – Dwa tygodnie, zero problemów, zero facetów, zero dram. I najważniejsze... Zero deszczu z San Francisco.

To ostatnie mnie przekonuje.

– No dobra... – ulegam, już wciągnięta w ich szaloną energię. – Wpisuję „loty do Aspen”.

– Tak jest! – Vanessa śpiewa triumfalnie, jakby wygrała bitwę w musicalu.

Siadam na wysokim stołku, wstukuję hasło w Google, a moje serce wali tak, jakby miało decydować o czymś dużo poważniejszym niż wyjazd.

Chyba decyduje. Trochę.

– O matko... – jęczę. – To naprawdę drogie miasto.

– Jakość kosztuje, kochanie – odpowiada Vanessa, poprawiając włosy, jakby była chodzącą ambasadorką luksusu. – Klikaj.

Pół godziny i dwie kłótnie o to kiedy i rzeczywiście na ile pojadę później mam rezerwację od dwudziestego drugiego grudnia aż do, o zgrozo, piątego stycznia.

Kwota, jaką przyszło mi zapłacić za bilety i pobyt, jest tak wysoka, że wolę przez najbliższe dni nie wchodzić na stan swojego konta. Ale jednocześnie czuję dziwną ekscytację wyjazdem i nie mogę się już go doczekać.

Wieczorem, leżąc już w łóżku, zaczynam przeglądać grafiki z Aspen. Pinterest wyświetla mi ośnieżone stoki, drewniane chatki z oknami świecącymi jak na planie komedii romantycznej oraz kolorowe kubki gorącej czekolady tak obładowane bitą śmietaną, że zastanawiam się, czy brzuch nie rośnie od samego patrzenia.

Ku własnemu zaskoczeniu odkrywam, że pomysł wyjazdu staje się coraz bardziej kuszący, a w mojej głowie powoli rodzi się nieśmiałe uczucie ekscytacji, które nie towarzyszyło mi już od dawna.

Zatrzymuję wzrok na zdjęciu przedstawiającym parę siedzącą przed kominkiem, owiniętą jednym wielkim kocem. Szybko przebijam dalej, bo naprawdę nie potrzebuję przeglądać zdjęć zakochanych par. Skupiam się więc na praktycznych rzeczach – w Aspen będę musiała pojawić się z odpowiednią garderobą, a to oznacza grube kurtki, rękawice, czapkę i, o zgrozo, bieliznę termiczną. Jeszcze wczoraj samo to słowo brzmiało dla mnie jak coś, czego używają alpiniści albo uczestnicy ekstremalnych wypraw, a dzisiaj staje się częścią mojej listy zakupów.

Myśl o tym, że naprawdę jadę na urlop, uderza mnie dopiero teraz, kiedy leżę pod kołdrą i wsłuchuję się w jednostajny szum miasta za oknem. Do tej pory moje życie było zbiorem obowiązków, terminów i cudzych potrzeb. Ten wyjazd jest pierwszą rzeczą od dawna, którą robię wyłącznie dla siebie. To uczucie jest dziwne, intensywne i trochę onieśmielające, ale jednocześnie bardzo dobre.

Przeglądam kolejne strony z kurtkami narciarskimi i po krótkiej chwili dochodzę do wniosku, że nie mam absolutnie żadnego pojęcia o zimowej odzieży. Więc zamiast zamartwiać się tym faktem, odkładam telefon na bok, planując, że jutro zabiorę dziewczyny na zakupy, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie kupuje bielizny termicznej bez wsparcia moralnego. Otulam się mocniej kołdrą, czując w środku coś pomiędzy stresem a ekscytacją, jakby ten wyjazd miał być czymś więcej niż tylko zwykłym urlopem.

Z uśmiechem zamykam oczy i próbuję wyobrazić sobie siebie w śniegu. Bo to, że będę tam najmniej ogarniętą osobą, to niemalże pewne.

Astrid w Aspen. Kto by w to uwierzył?

Rozdział 2

Grant

Nucąc pod nosem *Start Me Up* od The Rolling Stones, wjeżdżam do Denver. Silnik mojego pickupa mruczy jak zadowolony pies, a ja czuję, jak rytm muzyki przebija się przez szum ruchu ulicznego. Dzień zapowiada się pracowicie, ale mam dobre nastawienie – a to u mnie rzadkość, zwłaszcza przed spotkaniami z nowymi klientami.

Pan Jenkins, z którym jestem dziś umówiony, mieszka niedaleko centrum, więc zanim do niego pojadę, postanawiam zahaczyć o kawiarnię Aarii – mojej młodszej siostry, kulinarnego tornada o wyglądzie anioła i sercu tyrana, jeśli chodzi o jakość wypieków.

Gdy tylko wchodzę do środka, od razu uderza mnie zapach świeżo mielonej kawy i cynamonu. W tej kawiarni pachnie tak dobrze, że czasem mam ochotę zostawić interes i pracować tu na zmywaku. W sumie pewnie byłoby mniej stresu.

– Dobry! – rzucam, wymieniając mocny uścisk dłoni z Emmetem, baristą, który pracuje tu od trzech lat i wygląda, jakby był szefem tego miejsca bardziej niż moja siostra.

– O, patrzcie, kogo przywiało – odpowiada, oceniając mnie spojrzeniem, które mówi: „Potrzebujesz podwójnego espresso bardziej, niż przynasz”. – Standard?

– Wiesz, że tak. – Siadam przy barze, zdejmując czapkę i pocierając dłonie, bo mimo zimy nadal zapominam o zakładaniu rękawiczek.

Emmet zabiera się za robienie kawy z prędkością i precyzją, której pozazdrościłby mu chirurg.

– Aria na zapleczu? – pytam, zerkając w stronę drzwi do magazynu.

– Owszem. I mam ci powiedzieć, że jeśli wejdiesz tam z brudnymi butami, zabije cię gołymi rękami – informuje mnie Emmet tonem absolutnie neutralnym. – I zakopie za kawiarnią.

Parskam.

– Przekaż jej, że doceniam ostrzeżenie.

Drzwi do zaplecza otwierają się w tym momencie z hukiem, a w progu staje siostra. W rękach trzyma miskę mąki, we włosach ma śnieg z dekoracyjnej girlandy, a na twarzy wyraz, który zwykle poprzedza słowa: „Ty i twoje głupie pomysły”.

– Grancie Cameronie Hertland, czy ty naprawdę zamierzasz wchodzić do mojej kuchni w buciorach pokrytych pół metra błota z gór? – rzuca od progu.

– To tylko pięć centymetrów – odpowiadam, unosząc brew. – I błoto to całkowicie naturalny element przyrody.

– Naturalny element twojego braku wychowania – mruczy, po czym odstawia miskę, podchodzi do mnie i trzepie mnie ścierką po ramieniu. – Co cię sprowadza?

– Tęskniłem – mówię tonem niewinnym jak u trzylatka.

– Aha. – Mierzy mnie wzrokiem. – Czyli kawa.

– I może jedno z tych twoich czekoladowych ciast, jeśli zostało.

– Zostało, ale miałeś być na diecie.

– Nigdy nie byłem na diecie.

– Właśnie o tym mówię.

Emmet parska śmiechem i stawia przede mną wielki kubek czarnej kawy. Biorę łyk, czuję, jak energia wraca do mojego ciała i nagle cały świat wydaje się bardziej... do wytrzymania.

– Masz pracę w okolicy, prawda? – zagaduje Aria, opierając się o bar.

Kiwam głową.

– Nowy klient. Remont kuchni, wymiana blatów, coś wspominał o szafach.

– Brzmi jak raj – rzuca z przekąsem. – A planujesz wreszcie zrobić sobie przerwę?

– Na nowy rok może ze trzy dni.

Aria mruży oczy tak ostro, że czuję się, jakby prześwieciła mi duszę.

– Mhm. Ile to już lat odkładasz urlop?

– Nie liczę – oznajmiam, wypijając kolejny łyk kawy. – Wystarczy, że ty liczysz.

– I będę liczyć dalej, dopóki nie zdecydujesz się na chwilę odpoczynku – stwierdza, kręcąc głową. – Grant... jesteś wykończony. Widać to nawet po tym, jak siadasz.

Przewracam oczami.

– Siedzę normalnie.

– Jak staruszek – podsumowuje natychmiast. – Gdybyś był jeszcze bardziej sztywny, mógłbyś robić za drewnianego Dziadka do orzechów.

Emmet z trudem powstrzymuje śmiech, rzucam mu więc naburmuszone spojrzenie.

– W sumie mógłbym cię polukrować.

– Bardzo śmieszne – mruczę. – Może po prostu mam pracowity okres.

Aria zakłada ręce na piersi i milknie na chwilę, co u niej jest groźniejszym znakiem niż krzyk.

– Wiesz co? Skończyłam cię namawiać. Podjęłam decyzję za ciebie.

Unoszę brew.

– Słucham?

– Znalazłam ci dwutygodniowy pobyt w Aspen. Masz rezerwację.

– CO zrobiłaś?! – Prawie dławię się kawą.

– To, czego ty nie potrafisz – stwierdza. – Załatwiłam ci wakacje.

I zanim zdążę zareagować, dodaje:

– I nie waż się powiedzieć „nie”, bo zarezerwowałam to z opcją bezzwrotną.

Patrzę na nią, na Emmeta, na kubek kawy... i mam dziwne przeczucie, że to wszystko będzie miało fatalne konsekwencje. Mam również przeczucie, że Aria dopiero zaczyna swój „plan ratowania brata”. Od zawsze martwiła się moim przepracowaniem i gdyby nie ona, to chyba nie pamiętałbym nawet o jedzeniu.

Była cztery lata młodsza, a zachowywała się, jakby była ode mnie starsza i dojrzała.

Aria przytula mnie, całując przy tym w policzek, i znika za drzwiami zaplecza.

Zostawia mnie z kawą i ciężarem swojej decyzji, jakby właśnie wręczyła mi bilet do raju, a nie wyrok. Dwutygodniowy pobyt w Aspen jest psu na budę.

Emmet stawia przede mną czekoladowe ciasto, jakby próbował załagodzić nagły cios.

– Na koszt firmy. Wyglądasz, jakbyś przeżył katusze.

– Przeżywam – mruczę. – Na dodatek nie mam tu nic do gadania. Rozumiesz?

– Wiesz jaka ona jest – szepcze konspiracyjnie. – Jak sobie coś ubzdura, to nic jej nie powstrzyma.

– Żyję z nią tyle lat, to wiem. Ale, cholera, Met, dwa tygodnie?

– Brzmi jak świetny prezent. – Wzrusza ramionami.

– Prezent? Ja mam zaległe projekty, klientów do obskoczenia, papiery do wypełnienia...

– I brak czasu na urlop.

– No właśnie.

Biorę duży kęs ciasta i udaję, że jem zbyt intensywnie, by mówić. Emmet patrzy na mnie z miną, która wyraża jedno wielkie współczucie. Nie kontynuuje jednak rozmowy, za co dziękuję mu w myślach. Wzdychając raz po raz, dojadam ciasto, dopijam kawę i rzucając kasę na blat, wstaję od baru.

– Dzięki – mówię z posępną miną. – Powiedz Arii, że jeszcze do niej zadzwonię.

– Spoko, boss. Choć wiesz... ten urlop to naprawdę ci się przyda.

Macham na to ręką i wychodzę na mroźne powietrze, które wbija się w nozdrza. Mimo że śnieg dopiero zapowiadają, to temperatury spadają na łeb na szyję. Zaciągam suwak kurtki po samą szyję i ruszam w stronę samochodu.

Cały czas w głowie kotłuje mi się myśl o wyjeździe. Z jednej strony jestem wściekły, bo wiem, ile mam na głowie. Zaległe projekty, klientów, którzy liczą na to, że będę dostępny jak centrum alarmowe. W mojej głowie zawsze jest lista do zrobienia, a urlop... Cóż, urlop nigdy się na niej nie mieści.

Z drugiej zaś strony... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz naprawdę odpocząłem. Nie na dwa dni, nie na weekend, ale tak porządnie. Z wyłączonym telefonem, bez ołówka za uchem, bez kalkulatora w ręce.

Zatrzymuję się przy aucie i przez moment opieram się o drzwi, wpatrując w swoje odbicie w szybie. Widzę faceta, który wygląda, jakby przeszedł przez wszystkie sezony życia w jeden rok. Podkrążone oczy, zmęczenie przyklejone do barków, napięcie w szczęce. Nawet moja własna siostra widzi to lepiej niż ja.

Po śmierci ojca, dziesięć lat temu, nie było czasu na żałobę, łzy czy luksus załamania. Wziąłem wszystko na siebie – firmę, dom, rachunki, naprawy, a z czasem także całą opiekę nad mamą. Nie chciałem, żeby martwiła się czymkolwiek. Chciałem, żeby czuła się bezpieczna.

A potem zaczęło się zapominanie. Najpierw drobnostki – gdzie położyła klucze, czy jadła śniadanie, którego dnia jest wizyta lekarska. Potem większe rzeczy – imiona, daty, miejsca. A na końcu... siebie.

Lekarz powiedział to słowo spokojnie, łagodnie, ale ja czułem, jakby ktoś uderzył mnie betonem w klatkę piersiową.

Alzheimer.

Od trzech lat mama przebywa w placówce pielęgnacyjno-opiekuńczej – najlepszej, jaką znalazłem, z personelem, który zna ją lepiej, niż ja teraz jestem w stanie. Jeżdżę tam regularnie, czasem częściej, niż powinienem, ale każda wizyta przypomina mi, że jej świat przewrócił się do góry nogami, a ja mogę zrobić jedynie tyle, by to odwrócenie było możliwie miękkie.

Może dlatego tak trudno jest mi sobie wyobrazić urlop. Kiedy moje życie od dekady polega na gaszeniu pożarów, trudno po prostu... odpuścić.

Wsiadam do samochodu i dopiero teraz pozwalam sobie na głębszy oddech. Silnik mruczy, ogrzewanie zaczyna dmuchać ciepłym powietrzem, a ja siedzę tak chwilę, trzymając ręce na kierownicy.

Dwa tygodnie wolnego.

Aspen.

Oderwanie się od wszystkiego i wszystkich. Nie wiem jeszcze, czy się zgodzę, czy po prostu oddam to, co Ari wpłaciła. Ale przeczucie mówi mi, że jeżeli zgodzę się na to szaleństwo, będę je pamiętał do końca życia.

Spotkanie z klientem przebiega standardowo. On opowiada, jak widzi swoją wizję nowej kuchni, ja wyobrażam sobie to w głowie i na szybko szkicuję mu na kartce projekt. Mężczyzna należy do tych niezbyt zdecydowanych. Chce mieć kuchnię otwartą, ale żeby nie aż tak, najlepiej z wyspą, ale taką, by nie zawadzała, oraz blaty w stylu rustykalnym, jednak bardziej w nowocześniejszej formie.

Krótko mówiąc – nie ma najmniejszego pojęcia, czego chce. Spotkałem setki takich ludzi. W miarę rozmowy zaczynam żałować, że jednak nie zostałem w kawiarni, udając rozmyślanie nad propozycją siostry.

– Chciałbym, żeby to było takie *cozy*, ale wie pan... – Macha rękami, jakby próbował pokazać jakiś widok. – Bardziej eleganckie? Przytulne, ale żeby wyglądało na drogę.

– Czyli... wszystko naraz – stwierdzam, chociaż w duchu mam ochotę rzucić tą ofertą w diabły.

– No! Pan mnie rozumie! – Uśmiecha się szeroko.

Nie rozumiem. Ale za odpowiednią cenę to ci mogę nawet smoka na tych meblach wydłubać.

W końcu robię pomiary, spisuję uwagi i kończę spotkanie, a w drodze powrotnej dopada mnie to samo uczucie, które pojawia się od miesięcy: jestem zmęczony. Nie fizycznie – do tego jestem przyzwyczajony – ale psychicznie. Jakby ktoś powoli spuszczał powietrze z mojej energii.

Może Aria ma rację. Może rzeczywiście potrzebuję przerwy. Może Aspen to nie jest taki najgorszy pomysł. To niecałe cztery godziny drogi, więc to nie koniec świata.

Gapię się przez chwilę na kierownicę, po czym wjeżdżam na główną ulicę i obiecuję sobie, że jeśli już mam jechać do Aspen, przynajmniej wykorzystam to na sto procent. Może wreszcie odpocznę. Przypomnę sobie, jak to jest robić coś, co nie jest pracą.

Do domu wracam późnym wieczorem i pierwsze, co robię po zamknięciu drzwi, to rzucam klucze na szafkę z takim impetem, jakby ważyły tonę. Kurtkę zostawiam gdzieś po drodze, buty kopię w stronę korytarza, a sam padam na kanapę jak ścięty.

Oparcie ugina się pode mną, a ja czuję, jak całe ciało w końcu pozwala sobie na rozluźnienie. Przyspalam powieki z ulgą, a pod nimi mam wrażenie, jakbym nosił cały piasek z Sahary. Oczy pieką, skronie pulsują, a w głowie dudni echo całego dnia.

Chwila ciszy w salonie jest dziwnie kojąca, aż za bardzo, bo dosłownie czuję, jak przysypiam. Ale zanim mój mózg całkiem się wyłączy, do uszu dochodzi dźwięk nadchodzącej wiadomości. A po chwili kolejnej i kolejnej. Przez moment leżę nieruchomo, walcząc sam ze sobą: wstać czy udawać, że tego nie słyszę?

Ciekawość jednak wygrywa i już po chwili trzymam telefon w dłoni. W pasku powiadomień widzę maila od Arii.

Temat: Aspen – potwierdzenie rezerwacji.

Już na sam widok przewracam oczami. Klikam jednak w plik, który informuje mnie, że spędzę tam piękne dwa tygodnie z sauną, basenem, spa i darmowym dostępem do stoku.

Czytam również dopisek:

I nawet nie próbuj pisać, że to za drogie. Zapłaciłam, pieniądze nie mogą przepaść, bo byłoby to marnotrawstwo. Jedź i baw się dobrze <3

Wzdycham przeciągle i odpisuję jej:

Pojadę, ale tylko dlatego, że szkoda tych pieniędzy.

Nie przyznam się przecież, że nawet cieszy mnie to, że podjęła za mnie decyzję.

Rozdział 3

Astrid

Spakowanie się do jednej dużej walizki graniczy z cudem. Dosłownie. Mam wrażenie, że powinnam zadzwonić do NASA i zapytać, czy mają jakieś technologii składania rzeczy w mikroskopijne kostki. Niestety, realia są takie, że zamiast kosmicznych rozwiązań mam jedną walizkę, ograniczone siły i jeszcze bardziej ograniczone fundusze.

Więcej sztuk bagażu nie wchodzi w grę. Po pierwsze, nie ma kto tego taszczyć, bo przecież lecę sama, a nie z osobistym sherpa-boyem. Po drugie, cena za dodatkową walizkę wyrwa z butów, i to dosłownie. Po trzecie... znam siebie. Gdybym mogła zabrać dwie, znalazłabym powód, żeby zabrać trzy, a potem cztery, aż w końcu na lotnisku musiałabym wynająć wózek widłowy.

Dlatego z determinacją godną sportowca olimpijskiego upycham w tę jedną walizkę wszystkie grube ubrania, kosmetyczkę ważącą tyle, co sześciopak wody, i drugą parę zimowych butów, które wyglądają, jakby mogły przetrwać podróż na biegun północny. Każda próba zamknięcia zamka kończy się dźwiękiem dramatycznego protestu materiału. W końcu, po kilku niecenzuralnych słowach i dwóch głębszych wdechach, walizka ustępuje i zaskakującym kliknięciem informuje mnie, że mogę przynajmniej udawać, że mam nad tym wszystkim kontrolę.

Modłę się jednak w duchu, żeby bagaż wytrzymał to, co go czeka, bo wszyscy wiemy, jak wygląda „delikatne traktowanie” walizek na lotniskach. Dla pracowników handlingu nie ma znaczenia, czy twój bagaż kosztował pięć dolarów w second-handzie, czy pięćset w luksusowym butiku – i tak wyląduje na taśmie z impetem godnym olimpijskiego rzutu młotem.

Jeśli moja walizka to przetrwa, zasługuje na medal.